

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

10

Blady był śmiertelnie, ale już nie drżał. Wszelkie ślady wahania znikły z jego twarzy. W oczach jego płonęło niezłomne postanowienie.

— Niech i tak będzie — wyrzekł z mocą — ale zaczynam teraz dobrze rozumieć rolę, jaką odegrałeś przy mnie i nie jestem wcale usposobiony do znoszenia jej dłużej.

— Jaką rolę?

— Mojej córki już niema.

— Skąd to przypuszczenie?

— Albo zamordowaliście ją, albo też uciekła sama i wy sami nie wiecie, co się z nią stało.

— Ależ to szalona myśl!

— To jest prawda. — wyrzekł z mocą ojciec Andrzej, unosząc się coraz więcej — Pozwól mi mówić według woli. Naprawdę chcieliście mnie przestraszyć. A wiesz ty, Paskalu, jaka mi myśl przyszła przed chwilą, kiedy słuchałem cię mówiącego?

— Mów.

— A więc! Dzieje się coś dziwnego około was i około mnie. Czyżby Bóg się znużył nareszcie bezkarnością waszą? A może syn lub brat waszej ofiary powrócił nagle? Tego nie wiem. Ale jestem pewnym, słyszysz, tak pewnym, że słowa te podpisałbym krwią własną, że obecnie, w tej chwili znajduje się w Paryżu ktoś, widmo z przeszłości, które was śmiertelnym lękiem ogarnia. Cieszyliście się już, że zbrodnia wasza zapomniana została, że wam już żadne niebezpieczeństwo nie grozi, ale tymczasem, wiem, czuję, że to widmo jakieś przeszłości zjawilo się i trwogę rzuciło na was.

Paskal chciał dalej zachować swoją zimną obojętność i ironię, ale widać było, że walczy ze sobą, aby nie zdradzić drżenia i zmieszania, jakie go ogarnęło.

— A gdyby nawet tak było — odparł z wysiłkiem.

Błysk odwagi i zuchwalstwa zaświecił w oczach ojca Andrzeja.

— Gdyby tak było — powtórzył silnym głosem — to wiem, co mi uczynić wypada.

— Cóżbyś więc uczynił?

— Powiem wszystko.

— Jesteś szalony!

— Powiem wszystko, rozumiesz!

— Ale na to musisz mieć dowody!

— Będę je miał.

— A któżby ci zresztą uwierzył — zaśmiał się ironicznie Paskal. — Jesteś teraz nędznym żebrakiem, budzącym tylko litość. Wzięłoby cię za wariata.

Ojciec Andrzej uśmiechnął się z goryczą.

— Paskalu — rzekł dobitnym, spokojnym głosem — przypuść, że udam się do prokuratora policyj i opowiem mu to wszystko, co wiem. Ze wymienię nazwisko ofiary, tak jak i morderców. Czy przypuszczasz, że podobne odkrycie nie zajęłoby policyj i nie zmusiło do zajęcia się tą sprawą?

— Ale ty tego nie uczynisz — przerwał gwałtownie Paskal, zaciskając z wściekłością pięści.

— A gdyby za tym nędzarzem w łachmanach — ciągnął dalej ojciec Andrzej, nie zwracając uwagi na wzburzenie brata — stanął człowiek dzielny i zdecydowany na wszystko, na przykład syn ofiary, gdyby ten człowiek, powodowany również sprawiedliwym uczuciem, zażądał nareszcie dokonania sprawiedliwości, to pomyśl tylko, co by się stać mogło. Nie upłynęło by dni ośm, kiedybyście wszyscy pochwyceni zostali i wtrąceni do więzienia, skąd się tak prędko nie wychodzi.

— Zapewne — mruknął Paskal przez zaciśnięte zęby — ale ten człowiek nie przyjdzie.

— Kto wie?

— Dowiedziałeś się więc czegoś? — zapytał Paskal, patrząc skwapliwie na brata.

— Odgadłem wszystko, widząc, jak przed chwilą zmieniłeś się i zbliłeś śmiertelnie — odparł ojciec Andrzej wyzywająco.

— Cóż to mogłeś odgadnąć?

— On tu jest.

— Kto taki?

— Mściciel.

— Ale któż to jest.

— O to mniejsza... Widziałem, że drżałeś jak małe dziecko, może go gdzie spoikałeś... On ci groził... wyzwał cię... Przyznaj się, mów! Och! Widzisz, że mam słuszość! Nie śmiesz nawet śmiało spojrzeć mi w oczy!

Rzeczywiście działa się rzecz szczególna. Paskal, ten człowiek, którego dotąd nic nie mogło przejąć obawą, ten nędznik, który bez wzruszenia był świadkiem strasznej agonii ojca i zabójstwa syna, stał teraz tutaj blady, zmieszany, ogarnięty panicznym lękiem, tak jakgdyby ujrzał przed sobą straszną postać kafa, przychodzącego wykonać karę na nim.

Po raz pierwszy może w życiu człowiek ten zadrżał, czuł, że podłoga wstrząsa się z nim razem, że się z nim stać może coś bardzo złego, że nadeszła nareszcie chwila, gdzie musi zdać wobec sprawiedliwości rachunek z czynów popełnionych. Instynktowne to przeczucie było tak silne, że mimowoli kilkakrotnie obejrzał się ku drzwiom, jakgdyby czekając czyjeś wejścia.

Jednakże po chwili opanował się. Za wiele pewności i zuchwałości mieściło się w jego zatwardziałej duszy. Nie było można tak bezkarnie go przerażać i kiedy pierwsze zdumienie przeszło, znalazł dosyć siły w sobie, aby zapanować nad własną trwogą.

Poruszył się gwałtownym ruchem i szedł ku Andrzejowi z zaciśniętymi silnie pięściami, rozbłysłem dziko spojrzeniem i okrutnym uśmiechem na szerokich wargach.

— Andrzej! — zawołał głosem, którego siły nie starał się opanować. — Trzeba z tem raz skończyć.

— Czego więc chcesz — odparł starzec gorączkowo. — Czego ty chcesz odemnie?

— Chcę, żebyś wyjechał.

— Nigdy!

— Chcę, abyś mi przysiągł zachować tajemnicę jaknajgłębszą.

Ojciec Andrzej roześmiał się pogardliwie.

— Nędzniku! — zawołał, nie panując już nad sobą. — Ty mogłeś sądzić na chwilę, że zgodzę się na to! Nie, nie, nigdy! Już dosyć długo zachowuję to podłe, nikczemne milczenie i nie chce umrzeć z podobnym ciężarem na sumieniu. Postanowienie moje teraz jest niezłomne i powtarzam ci raz jeszcze, Paskalu, powiem wszystko, słyszysz!

— Milcz!

— Powiem wszystko! Już czas, aby sprawiedliwość wykonana została!

— Jestem twoim bratem!

— Jesteś zbrodniarzem!

— Strzeż się!

— Przed czym?

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

— Czegoż się lękać mogę?

Paskal przeciągnął ręką po czole i zgrzytnął wściekle zębami.

— Wyzywasz mnie szalony! — zawołał zduszonym głosem, z oczami krwią nabiegłymi. — Wyzywasz mnie głupcze, a nie pamiętasz o tem, że znajdujemy się teraz tu sami i że ja jestem uzbrojony, że mogę cię zamordować, kiedy tylko zechcę!

Ojciec Andrzej rozłożył szeroko ramiona, odkrywając piersi.

— Uderz! — wyrzekł spokojnie. — Uderz! Dołącz jeszcze zbrodnię do tamtych!

Stał noża zabłysła w ręku Paskala.

— Uderz! — powtórzył raz jeszcze starzec — i pospiesz się, bo jeśli mnie dziś nie zabijesz, jutro oddam cię w ręce sprawiedliwości!

Okrzyk wściekłości wybiegł z piersi Paskala.

— Upór twój cię zgubi — wymówił z trudem, opanowany szaleń, z którego już nie zdawał sobie sprawy. — Cofnij to słowo, słyszysz, bo pożałujesz gorzko!

— Wahasz się?

— Powiedz mi, że zgadzasz się na wyjazd — nalegał jeszcze Paskal.

— Nie uczynię tego nigdy! — odparł z mocą ojciec Andrzej.

— Powiedz mi przynajmniej, że milczeć będziesz!

— Ileż razy powtarzać ci muszę, że powiem wszystko! — odparł niecierpliwie starzec.

Paskal poruszył się gwałtownie.

— A więc... umieraj! — zawołał pijany wściekłością i lękiem. — Sam jesteś winien temu, co się stanie!

I mówiąc to, rzucił się nagle na brata, uderzając go nożem w piersi.

Ojciec Andrzej zachwiał się i bez słowa runął u jego stóp.

Chwila śmiertelnej ciszy zaległa w izbie po upadku ciała. Paskal stał czas jakiś jakgdyby ogłupiały tem, co uczynił, ale wkrótce potrzęsął silnie głową, jakgdyby odrzucić chciał od siebie myśl jakąś niepokojącą, rzucił zakrwawiony nóż daleko od siebie i jak szalony wybiegł z pokoju.

Ale kiedy przechodził już próg domu, natknął się silnie na jakiegoś człowieka.

Paskal wydał okrzyk zgrozy i przestachu, szybkim ruchem nasunął na oczy firzangą czapkę i skoczył w ciemną ulicę. Za nim biegł ironiczny, donośny śmiech nowego przybysza. Był nim Lopez, przyjaciel młodego doktora Franka.

Dom na Polach Elizejskich.

Nazajutrz około godziny drugiej popołudniu, powóz Oktawiusza Gaudin przejechał szybkim klusem przez bulwary, w kierunku dzielnicy św. Honorjusza.

Naręczony Sylwii de Compans wykrojony był jak gdyby z żółta miod.

Pod sztywnym kołnierzykiem, niepokalanej białości, pysznił się wspinały węzeł niebieskiej krawatki, przeżyłkanej srebrnymi nitkami. Kamiżelka od najlepszego krawca doskonale uwypatniała jego figurę, zaznaczając jej wytworną smukłość, jasne spodnie obciągały dosyć zgrabne jego nogi, a zarzućka, z wyborowej angielskiej materii, zarzućona niedbale na ramiona, odsłaniała dostatecznie całość ubrania.

Oktawiusz Gaudin niewiele spał od owej pamiętnej nocy balu opery. Tajemnicze domino niepokoiło go ciągle. Zaraz nazajutrz powrócił na Pola Elizejskie i przy pomocy wspomnień, dosyć jasnych jeszcze, udało mu się odnaleźć dom, w którym mieszkała nieznajoma.

Sprawa ta stała się dla niego sprawą honoru. Tajemnica, otaczająca nieznajomą, przyciągała go w niewytłumaczony sposób i nigdy jeszcze poznanie kobiety nie nastąpiło u niego w podobnych, dziwnych okolicznościach. Postanowił więc poznanie to doprowadzić do pożądanego rezultatu, choćby dlatego, aby uniknąć drwin Lopez'a i przyjaciół, którym nie omieszkał się zwierzyć z całego przebiegu awantury. Dzień więc przedtem Oktawiusz Gaudin przepędził prawie bez przerwy na obserwacji domu, znajdującego się na polach Elizejskich. Portyer, do którego najsamprzód się zwrócił i okupić chciał kilkoma ludwikami, na liczne jego zapytania dał kilka mrukliwych, nic nie znaczących odpowiedzi, które niewiele go objaśniły. Nie uważał się jeszcze jednak za pokonanego.

Od pewnego czasu sprawy giełdowe Oktawiusza stały wyśmienicie i zarabiał dosyć pokładne sumy.

Wiedząc z doświadczenia, że każdy człowiek w końcu ulegnie cudownym dźwiękom złota i że należy tylko ustalić odpowiednią sumę, aby rozwiązać najbardziej uporne milczące usta, Oktawiusz raz jeszcze w stosownej chwili podsunął pod oczy portyera domu przy polach Elizejskich, pociągny, tęczowy banknot, na widok którego tenże szeroko otworzył oczy i usta.

Oktawiusz, widząc jego zdumienie, uśmiechnął się ironicznie.

— No i cóż — zapytał go swobodnie.

— Cicho, cicho — szepnął portyer, przyjmując ofiarowany banknot.

— Decydujesz się mówić?

— Niech pan powróci dzisiaj wieczorem, będę sam, porozmawiamy swobodnie.

Oktawiusz uszczęśliwiony powrócił wieczorem.

Kiedy się zbliżał do domu, ujrzał, jak drzwi otwierają się, przepuszczając prawie natychmiast młodego robotnika w bluzie, z głową nakrytą kaszkielem. Robotnik ten spiesznym krokiem oddalił się w stronę pól Elizejskich, gdzie wsiadł do przejeżdżającej dorożki.

Cóż mogła znaczyć ta nowa tajemnica? Oktawiusz znowu niecierpliwie się i niepokoić zaczął. Młody robotnik wyglądał wcale pokaźnie i ruchy jego zdradzały pewną wytworność, którą napróżno starał się pokrywać.

Portyer towarzyszył młodemu człowiekowi aż do bramy i kiedy dorożka uwożąca go znikła mu z przed oczu, powrócił do Oktawiusza.

— Proszę wejść — rzekł szczególnym tonem.

Oktawiusz wszedł zmieszany do najwyższego stopnia, lecz dziwnie podniecony i uradowany równocześnie.